

Stanisław Łojek

Człowiek znieczulony czyli : świat w kulturze analgetyku

Nowa Krytyka 10, 5-21

1999

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Stanisław Łojek
Uniwersytet Jagielloński

Człowiek znieczulony **czyli: świat w kulturze analgetyku**

Choroba

Orzec, czy życie jest, czy nie jest warte trudu, by je przeżyć, to odpowiedzieć na fundamentalne pytanie filozofii.

Camus

Niektórzy orzekają, iż nie jest warte, nie ma po co żyć – popełniają samobójstwo. Większość – żyje. Skoro tak, to można by podejrzewać, że mają też rację swojego istnienia. Część z nich (większa część z większości) traktuje swoją rację jako rzecz oczywistą. Gdy stają wobec zarzutów i wątpliwości, bronią tej oczywistości powołując się na „prawdę”. Inni – żyją w zawieszeniu. Zazdroszczą tym, dla których wszystko jest jasne: „Moje marzenie to – wcielić się, ale już tak ostatecznie, w jakąś otyłą, siedmiopudową kupcową i uwierzyć w to wszystko, w co ona wierzy” (Iwan Karamazow); czynią zakłady (Pascal); niektórzy nawet „sprawę swą opierają na nicości” (Stirner). Mimo to skazani są na niepewność. Nie wierzą w „oczywiste” racje, lecz nie są też do końca przekonani, że żadna racja nie istnieje. Dlatego żyją.

Jest więc jakiś związek między racją życia a życiem samym. Pewność braku racji potrafi unicestwić życie. Pewność, że ma się rację, uspokaja, pozwala wieść jasno określony, pozbawiony zwątpień żywot. Wątpienie we wszelkie racje skazuje życie na walkę – walkę wynikającą z rozdarcia między pragnieniem pewności a niemożnością jego zaspokojenia.

Fakt, że co jakiś czas pojawiają się samobójcy i wątpiący, każe przypuszczać, że racje, które „przekonani” uznają za oczywiste, nie dla wszystkich są takie.

Arystoteles powiadał o swoich poprzednikach, że byli „zniewoleni samą prawdą”; okazuje się jednak, że prawdy określające cel istnienia nie posiadają tej zniewalającej mocy. Albo inaczej – moc zniewalająca tkwi w nas samych, zmusza nas do szukania jakiejś prawdy. Lecz zawsze wtedy, gdy myślimy, że już tę prawdę znaleźliśmy, okazuje się, iż tylko my sami możemy być przez nią zniewoleni.

Wydaje się więc, że owo zniewalające nas pragnienie prawdy jest niczym innym jak pragnieniem samego zniewolenia. Gdy idzie o sens istnienia, poszukujemy prawdy nie dla niej samej, lecz dla jej zniewalającej mocy. Paradoks polega na tym, że nawet ci, którzy odrzucają wszystkie dotychczasowe racje, twierdząc, że ich zniewalają, sami pragną usprawiedliwić to odrzucenie racjami, które byłyby ostateczne, niepodważalne i nie podlegające zwątpieniu. Powiadają, iż są ludźmi wolnymi, ponieważ nikt inny nie narzuca im celu istnienia, ale jednocześnie żądają od celów stwarzanych przez siebie, i dla siebie, aby były „prawdziwe”. „To bardzo miłe: tylko jeżeli zechciał oszukiwać, to po cóż mu jeszcze sankcja prawdy?” (Iwan Karamazow).

Iwan chciał uwierzyć w to, w co wierzy siedmiopudowa kupcowa. Ale dlaczego? Czyżby uznawał jej przekonania za prawdziwe? Absurd. Właśnie dlatego nie potrafił w nie uwierzyć, że uważał je za kłamstwo. Dla niego powab prawdy kupcowej nic wypływał z jej „prawdziwości”, lecz z czegoś zupełnie innego – z mocy, którą posiadała, z mocy zniewolenia.

Ale co zostaje zniewolone? Odpowiedź wydaje się oczywista – rozum. Jednak nadal nie wiemy, dlaczego rozum Karamazowa miałby

szukać zniewolenia w prawdzie, która go nie przekonuje. Być może odpowiedź tkwi w tym, co taka prawda oferuje: oczywistość, jasność i wypływające z nich spokój i pewność. Wynikałoby stąd, że pragnienie rozumu powodowane jest brakiem pewności i jasności. Chcąc oddać się w niewolę prawdy, pragnie wyzwolić się z tego nieznosnego stanu. Jedno zniewolenie ma być zastąpione drugim. O tym, że rozum Karamazowa był zniewolony świadczy chociażby to, iż nie mógł uwierzyć w coś, w co pragnął uwierzyć. Więc w co wierzył? Co zniewalało go tak, że nie potrafił znaleźć ukojenia?

Gdy kupcowa upiera się przy tym, że Bóg istnieje, rozum Iwana podpowiada mu, że rzeczywistość temu przeczy. Skoro Boga nie ma, szepcze dalej, to „wszystko jest dozwolone”. I tu właśnie następuje moment, w którym zniewolony prawdą o rzeczywistości rozum zaczyna szukać ucieczki. Ponieważ nie jest w stanie uwierzyć w Boga kupcowej, pragnie nadać swojej prawdzie „boskie” cechy, chce, by była to prawda jedyna, wieczna i niezmienna, chce uzyskać co do niej pewność. Cóż się jednak okazuje? Pewność prawdy o rzeczywistości nie była tą pewnością, której Iwan szukał, była wręcz jej zaprzeczeniem. Tamta pewność miała mu dać ukojenie, ta – przemieniała jego wątpliwości w wolę negacji. Bo gdy wszystko jest dozwolone, to nie istnieje żaden „prawdziwy” cel istnienia, nie ma po co żyć, więc być może, życie nie jest warte trudu, by je przeżyć. Wątpliwości Karamazowa nie wpływały stąd, że nie wierzył on w tę prawdę, którą podpowiadał mu rozum, nie – wątpił, gdyż nie mógł się z tą prawdą pogodzić. Pragnął więc wykroczyć poza nią i dotrzeć tam, gdzie odnajdzie sens istnienia. Było w nim zatem przekonanie – które dzielił wraz z kupcową – że istnienie jako takie nie ma w sobie wartości i sensu, że bez „wyższej” prawdy, która by mu tę wartość przydawała, nie ma po co się trudzić. Pragnął znaleźć dla swojej prawdy o życiu usprawiedliwienie. Punktem wyjścia jego poszukiwań była zatem negacja życia, jego potępienie. Życie dla niego było czymś, co wymaga usprawiedliwienia.

Taki stosunek do życia, do rzeczywistości, nie jest czymś wyjątkowym, można go dostrzec zarówno w postawie samobójców, jak i ludzi wierzących. Wspólne jest tutaj przekonanie, że wartość życia musi mu

być nadana z zewnątrz, że musi wypływać z prawdy, która przeczy temu, co my potępiamy. Cel istnienia może być nam dany tylko dzięki takiej prawdzie, która przeciwstawia się prawdzie o rzeczywistości. Samobójca, stwierdzając, że taka prawda nie istnieje i stając oko w oko z życiem, które dla niego nie posiada w sobie żadnej wartości, odmawia zadawania sobie trudu bezsensownego istnienia. Dla wierzącego trud taki usprawiedliwiony jest prawdą o innym, „lepszym” życiu, które ma nadzieję dopiero osiągnąć.

Ludzie pokroju Iwana także szukają zewnętrznego celu, także wychodzą od niezgody na rzeczywistość. Nie mogą uwierzyć w prawdę kupcowej, gdyż nie potrafią pozbyć się myśli, iż jest to oszustwo. Pragną znaleźć cel, ale nie chcą siebie oszukiwać. Jednakże z tej niezgody nie wyciągają – jeszcze – ostatecznych konsekwencji i wzdragają się przed pójściem drogą samobójcy. Być może nie mają odwagi, być może trzyma ich przy życiu jakieś „zwierzęce” pragnienie. Więc szukają celu, który nie byłby kłamstwem, szukają go w tej rzeczywistości, którą chcą zanegować. Szukają w niej „wyższej” prawdy, która miałaby zaprzeczyć straszliwej prawdzie o istnieniu. Lecz ich wysiłki spełzają na niczym. Prawda, która miała ich wyzwolić, pogłębiła tylko ich cierpienia. Prawda o rzeczywistości, otrzymawszy sankcję Prawdy „boskiej”, pewnej i niezmiennej, pozbawiła Iwana wszelkiej nadziei na cel. Jego poszukiwania skończyły się obłędem.

Można przypuszczać, że u wszystkich tych ludzi Prawda jest sposobem na zapomnienie o cierpieniach bezwartościowego istnienia. Jest to możliwe tylko wtedy, gdy owemu istnieniu nada się z zewnątrz „prawdziwy” sens i „prawdziwą” wartość. Ale niezbędnym warunkiem skutecznego oddziaływania Prawdy jest umieszczenie Jej w takim „świecie”, który byłby negacją, zaprzeczeniem świata rzeczywistego. Nasze potępienie życia znajduje wtedy swoje usprawiedliwienie – słusznie negujemy życie, które nie jest „prawdziwe”. Ukojenie bólu istnienia nie może się jednak powieść, gdy prawdę lokujemy w tym samym świecie, który chcemy zanegować. Negacja przeradza się wtedy w obłęd lub w wolę samounicestwienia.

Uciec przed cierpieniem możemy tylko przez oszustwo lub samobójstwo (ciała lub rozumu). Pozostaje pytanie: Czy musimy uciekać?

Czyż Iwan nie uciekał dlatego, iż nie mógł się pozbyć wpajanego nam wszystkim przekonania, że tylko Prawda może nadać wartość życiu? Ani przez moment nie przypuszczał, że życie samo w sobie może mieć jakąś wartość. Oskarżał je właśnie o to, że nie było zgodne z Prawdą. Nigdy nie wierzył, że można w nim znaleźć **własny** cel, cel niezależny od wszelkich „prawdziwych” celów. Od początku było dla niego jasne, że Cel jest nierozzerwalnie związany z Prawdą.

Pozostaje kwestią otwartą, czy ów związek nadal byłby konieczny, gdybyśmy potrafili afirmować życie. Czy radując się nim, radując się sobą, nadal potrzebowalibyśmy usprawiedliwienia. Czy mówiąc, że „wszystko jest dobre” i potwierdzając życie, odczuwalibyśmy jeszcze nagłą konieczność znalezienia „wyższej” Prawdy, „wyższego” Celu. Czyż nie moglibyśmy wtedy znaleźć w sobie tyle radosnej siły, by ów upragniony cel samym sobie stworzyć, by uczynić **życie** jedynym celem życia?

Na te pytania nie możemy na razie odpowiedzieć. Wiemy natomiast, że gdy życie odczuwamy jako cierpienie, i przez to uznajemy je za godne potępienia, to tylko dzięki Prawdzie możemy wytłumaczyć sobie, iż jest ono warte trudu.

Potrzebujemy Prawdy, aby móc pogodzić się z życiem, którego znieść nie możemy.

Objawy

„Cóż uczyniliśmy, odpędzając ziemię od jej słońca? Dokąd zdąża teraz? Dokąd my zmierzamy? Precz od wszystkich słońc? Nie spadamyż ustawicznie? I w tył, i w bok, i w przód, we wszystkich kierunkach? Jestże jeszcze jakieś na dole i w górze? Czyż nie błądzimy jakby w jakiejś nieskończonej nicości? Czyż nie owiewa nas pusty przestwór? Czyż nie pozimniało? Czyż nie nadchodzi ciągle noc i coraz więcej nocy?” (Nietzsche)

Tak woła człowiek, który odkrywa „śmierć Boga”. Tak woła samobójca. Ich krzyk oznajmia prawdę o świecie pozbawionym Prawdy. Bo czyż nie jest tak, że życie bez Boga jest tylko chaotycznym spadaniem w nicosć? Czyż nasze konwulsyjne szarpanie się wcale nie odwraca kierunku tego spadania, wcale go nie opóźnia? Czyż wszystkie te boczne uliczki, w które wpędzają nas nasze pożądania i drgnienia woli nie okazują się zawsze ślepyimi zaułkami? Na końcu każdej drogi, którą zechcemy podążać, odnajdujemy zawsze to samo. I gdy przekonujemy się, że wszelkie nasze wysiłki były daremne, że zawsze docieraliśmy donikąd, pojawia się w nas to straszne pytanie. Po co? Po co dążyć do celów, których nie ma? Wszak istnieje tylko jeden cel – nicosć. I wtedy budzi się w nas pragnienie innego celu – który odwróciłby spadanie, zmienił jego kierunek. Skoro niedoskonała: chaotyczna i skończona rzeczywistość neguje istnienie takiego celu, musimy umieścić go w świecie, który będzie jej zaprzeczeniem. Cel wieczny, niezmienny, doskonały; cel, który jest Bogiem. Tylko On może nadać sens i kierunek naszemu absurdalnemu istnieniu. Wznosząc ku Niemu myśli i pragnienia odwracamy ten nieubłagany ruch w stronę nicosći, znajdujemy drogę, która wreszcie dokądś prowadzi. Bóg wybawia nas od poczucia bezsensu naszej egzystencji, uwalnia od świadomości, że wszystkie nasze wysiłki są bezużyteczne. Pokazuje, że wcale nie muszą być takie, iż ich dotychczasowa jałowość wynikała z niewiedzy o istnieniu „prawdziwego” celu. Tłumaczy nam nasze cierpienia: te, które wynikają z oczywistej niemożności zaspokojenia pragnień złudnych wartości; oraz te, które są konieczne dla osiągnięcia Najwyższego Celu.

Bóg jako Wybawca, wyzwala nas od cierpienia bezsensownego istnienia. Ale też Bóg jako Prawda. Gdyż jeśli mamy uwierzyć w istnienie sensu wiecznego, niezmiennego i doskonałego, uwierzyć, iż nie wymyśliliśmy go sobie pragnąc uciec od rzeczywistości, to musimy nadać mu sankcję Prawdy najwyższej i jedynej.

Odtąd na wieki związane Prawdę z sensem istnienia. Nic nie mogło się oprzeć jej kruszącej mocy. Wszystko, co nie posiadało pieczęci wieczności i doskonałości, stawało się bezwartościową uludą. Poza Prawdą nie było żadnej innej wartości, żadnego sensu. Człowiek, który

nie potrafił uwierzyć w Prawdę, skazany był na rozpacz bezcelowej egzystencji. Gdy „wiedział”, że **poza** Prawdą znalezienie sensu jest niemożliwe. Ale też nigdy nie szukał go nigdzie indziej. Czyż jego poszukiwania nie były zawsze ucieczką od rzeczywistości, próbą znalezienia sensu, który by jej przeczył?

Gdy „oszałały człowiek” obwieścił tłumowi gapiów, że „Bóg jest martwy”, spotkał się z obojętnością i niezrozumieniem. Słuchacze nie przejęli się jego wizją rzeczywistości bez Boga. Jak gdyby wcale nie odczuli Jego śmierci. Stało się tak, ponieważ, mimo iż Bóg umarł, to przeżyła jeszcze – Prawda. Śmierć Boga nie oznaczała unicestwienia jedynego lekarstwa. Człowiek zdążył wynaleźć inne. Wydawało mu się, że skoro jest w posiadaniu Prawdy, Bóg nie jest mu potrzebny. Uzbrojony w tak potężny oręż sam zdecydował się Go uśmiercić i zając opustoszałe po Nim miejsce. Mając w ręku tak skuteczny środek do walki z rzeczywistością, sądził, że jeśli tylko będzie wytrwale dążył do stworzonej przez siebie Prawdy, to wreszcie osiągnie upragniony cel. Cel, w którym zniknie cała bezsensowność i cierpienie, w którym człowiek stopi się z wiecznością i doskonałością, w którym stanie się... Bogiem.

Jednak „śmierć Boga” miała bardziej dalekosiężne konsekwencje. Wraz ze zniknięciem Istoty Najwyższej, odszedł w niepamięć zaświat, w którym bytowała Prawda. Należało jej znaleźć jakieś inne miejsce. Próbowano więc umieścić ją w owym dziwnym, niedostępnym świecie „rzeczy samych w sobie”. Ale skoro ambicja człowieka nakażywała mu, by stał się Bogiem, postanowił rozprawić się także z tym nieosiągalnym światem. Aby osiąść Prawdę, musiał ściągnąć ją do siebie, na ziemię. Lecz wtedy, gdy już był tak blisko niej, gdy nieomal ją rozpoznał, pojawiło się w nim straszne podejrzenie, czasami przerażające się w pewność – odkrył, że być może ta „boska” Prawda nie istnieje! Zaczęło do niego docierać, że to ona, a nie świat rzeczywisty, jest ułudą, wymysłem, który wynaleziono, by uśmierzyć ból innej prawdy, prawdy o istnieniu. Ogarnęło go jeszcze nie do końca jasne przecucie, że wszystko, co do tej pory tworzył odwołując się do tej

Najwyższej Prawdy, było tylko pewnego rodzaju terapią. Przybierała ona różne formy, lecz zawsze jej jedynym celem było zapomnienie.

Leczenie

Kultura jako moralność – Prawdę utożsamia się tutaj z Dobrem, z Ideałem, do którego winniśmy dążyć. Aby osiągnąć Prawdę, musimy nie tylko właściwie postępować (obyczaj, prawo), lecz przede wszystkim tak ukształtować swoją osobowość, by stać się „dobrym” człowiekiem.

Wynika stąd, że nie jesteśmy tym, kim być powinniśmy, że jest w nas jakiś brak, że musimy przekroczyć siebie, by stać się kimś „lepszym”. Tego wymaga od nas moralność. Ale jej moc i wszechobecność w naszym życiu wskazują na to, iż w nas samych obecne jest jakieś uczucie niedosytu. Sami pragniemy stać się ludźmi „moralnymi”, odczuwamy naszą obecną kondycję jako wadliwą i niedoskonałą, nie jesteśmy z siebie zadowoleni i czujemy potrzebę zmiany. Lecz co chcemy zmienić?

Moralność powiada nam, iż źródłem i przejawem naszej niedoskonałości jest egoizm. Jesteśmy „źli”, gdy nasze myśli, pragnienia i czyny podyktowane są wyłącznie miłością własną, która nie uwzględnia potrzeb i dążeń innych ludzi. Winniśmy zatem uczynić dobro bliźnich celem naszych pragnień. Nie wolno nam manipulować innymi ludźmi, aby zrealizować własne egoistyczne dążenia, nie – zawsze to **ich** dobro musimy mieć przede wszystkim na uwadze.

Tak w ogólnym zarysie wygląda najbardziej podstawowy nakaz moralności. Jednakże, jak już mówiliśmy, nakaz ów jest zgodny z naszym najbardziej wewnętrznym pragnieniem. **Chcemy** być ludźmi „dobrymi”, chcemy wykroczyć poza nasz pierwotny egoizm. Gdy orientujemy się, że wszelkie nasze dążenia są skierowane na nas samych, że chcemy wykorzystać wszystko i wszystkich do realizacji naszych celów, to pojawia się w nas jakieś nieznośne uczucie braku, niespełnienia – jak gdyby to zamknięcie się w sobie, odgródzenie od

wszechświata ludzi i rzeczy uniemożliwiało nam całkowite zaspokojenie, tak jakby tkwiło w nas głębsze pragnienie zburzenia muru, przekroczenia egoistycznej granicy. Czujemy, że potrzebujemy innych ludzi. I to nie tylko dlatego, iż bez nich nie potrafimy zaspokajać swoich codziennych potrzeb. Potrzebujemy bliźnich, ponieważ tylko dzięki nim możemy się wyrwać z twierdzy samotności. Egoistyczna samotność jest zawsze samotnością znikomości i bezsensu. Jeśli staniemy sami wobec otaczającego nas świata ludzi i rzeczy, to świat ten będzie nam zawsze przypominał, że jesteśmy w nim nic nieznaczącym „pyłkiem”, który równie dobrze może być lub nie być, którego pojawienie się i zniknięcie jest tylko drobnym epizodem, czymś nieistotnym dla obojętnej całości. Co więcej, wszystko, co sobie ów „pyłek” zamarzy, wszystko, do czego będzie dążył i czego będzie pragnął, ma tylko ulotne znaczenie dla jego ulotnej egzystencji. Nic nie zatrzyma nieubłaganego ruchu ku nicości. Sens całości jego życia zawsze będzie bez sensu.

Pragnienie moralne nakazuje nam więc wyrwać się z objęć egoizmu i skierować ku innym ludziom. Przewycięzenie samotności będzie możliwe tylko wtedy, gdy uda nam się odnaleźć to, co łączy nas z innymi i gdy zdołamy się temu czemuś przeciwstawić. Duch i Rozum; Rozum lub Duch. To w nich znajdujemy swoje człowieczeństwo. To dzięki nim przestajemy być nic nie znaczącym indywiduum i stajemy się Człowiekiem – częścią wielkiej wspólnoty Ludzi: Wspólnoty Bożej, Ludzkości, Społeczeństwa, Narodu, Państwa. Przekraczamy siebie. Utożsamiamy się z potęgą, która przerastając nas, ukazywała nam naszą znikomość i bezwartościowość. Jej cele stają się naszymi celami. Ale nie są to już te cele, które wobec rychłego kresu nie miały żadnego sensu. One poza ten kres wykraczają, odwracają kierunek spadania, zmieniają spadanie w lot ku górze.

Idąc za głosem Ducha, idąc za głosem Rozumu odkrywamy w sobie coś, co nadaje nam sens, cel i wartość, jakich nie potrafimy odnaleźć słuchając się tych sił, które podpowiadają nam, iż jesteśmy „tylko” wyjątkową i niepowtarzalną jednostką. Gdyż właśnie ta jednostkowość i ta niepowtarzalność naszego życia wydają się nam przekleństwem.

Skazują nas na samotne poszukiwania prawdy i fałszu, dobra i zła. Stając wobec indywidualnej wyjątkowości naszego istnienia, musimy sami określić jego cel, sami nadać mu sens i wartość. Z niepowtarzalnej mnogości różnorodnych i chaotycznych popędów, pragnień i dążeń, uczynić równie niepowtarzalną jedność. Stworzyć siebie tak, jak tworzy artysta. Nadać swemu życiu formę, która przemieni pozornie nic nie znaczące elementy w sensowną i wartościową całość. Życie jako dzieło sztuki. To w samym dziele tkwi wartość, z niego wypływa; dzieło życia nie wymaga usprawiedliwienia, nie potrzebuje niczego poza sobą, co dopiero określałoby jego wartość; nie potrzebuje zewnętrznej sankcji Prawdy i Dobra, samo w sobie jest dobre i prawdziwe.

Gdyby takie „tworzenie” życia było możliwe, być może pozwoliłoby nam pozbyć się uczucia braku i niespełnienia oraz zaspokoić pragnienie doskonałości. Ale tworzenie wymaga siły i odwagi: odwagi przezwyciężenia wątpliwości, czy taka jedność w ogóle istnieje, czy znajdziemy w niej zaspokojenie. Gdyż na razie spostrzegamy w sobie tylko to okrutne rozdarcie – między naszą znikomością i bezsilnością a żądzą doskonałości. Nie wierzymy, że te dwa bieguny naszego istnienia można ze sobą scalić, traktujemy je jako sobie przeciwstawne. Dążąc do jednego z nich musimy więc zaprzeczyć drugiemu. Negacja, nie synteza, jest jedyną drogą do zlikwidowania nieznośnego rozdarcia. Aby osiągnąć jedność musimy utożsamić się z tym, co w nas doskonale i zanegować, potępić to, co tej doskonałości przeczy. Winniśmy zatem uznać, że „prawdziwe” jest w nas tylko to, co wskazuje nam drogę ku doskonałości. Doskonałości rozumianej jak udział w „wyższej” jedności – jedności przekraczającej nas, jedności, z którą stapiamy się realizując swoje „prawdziwe” ja. Wszystko, co przeczy takiej jedności, co podpowiada nam, że różnimy się od innych, że jesteśmy wyjątkowi i... sami, musi zostać zanegowane, uznane za „nieprawdziwe”. Nasze egoistyczne pragnienia, wyrrywające nas z doskonałej wspólnoty, są wynikiem błędu, niewiary lub niezrozumienia Prawdy. Gdyż odkrywając w sobie Prawdę, odkrywamy Dobro. Dobro, które przecząc Złu pokazuje nam, kim mamy się stać, aby zapomnieć o bezsensie i zniko-

mości indywidualnego istnienia. Dobro, które leczy, Prawda, która „wyzwała”.

Środki wspomagające

Kultura jako filozofia

„Dzieje błędu

1. Świat prawdziwy, możebny do osiągnięcia dla mędrca, człowieka zbożnego, człowieka cnotliwego – on żyje w nim, **on nim jest** [...]
2. Świat prawdziwy, niemożliwy do osiągnięcia w teraźniejszości, ale przyrzeczony mędrcom, człowiekowi zbożnemu, człowiekowi cnotliwemu (grzesznikowi czyniącemu pokutę).
3. Świat prawdziwy, niemożliwy do ujęcia, do udowodnienia, do przyrzeczenia, lecz pomyślany jako pociecha, jako zobowiązanie, jako imperatyw [...]” (Nietzsche)

Dzieje filozofii jako dzieje „świata prawdziwego”. Chrześcijaństwo czyni wyśniony przez Platona świat powszechnie dostępnym: przynosi go w nieokreśloną przyszłość i pokazuje, że każdy może go osiągnąć (dzięki wierze i płynącej z niej moralności); ukazuje Istotę Najwyższą, która poręcza istnienie tego świata, Ojca, który możemy być nam go obiecać. Kant broni „świat prawdziwy” przed atakami sceptycyzmu, czyniąc zeń „świat rzeczy samych sobie”. Zuchwały rozum zostaje skarcony, lecz, niejako mimo woli, ujawnia się to, czym „świat prawdziwy” jest – pociechą, która aby w ogóle mogła pocieszać, musi być przyjęta bez dowodu i której przyjęcie nakłada na nas zobowiązania.

Kultura jako nauka

Skoro „świat prawdziwy” umieszczony poza tym światem stał się nieosiągalny i jako taki nie mógł już ani pocieszać, ani zobowiązywać, to może należałoby go odrzucić? Lecz odrzucenie pociechy, ogłoszenie, że celu ostatecznego nie ma i że wobec tego „wszystko jest dozwolone” mogłoby doprowadzić do tego, że nad ludzkością zawisłaby groźba powszechnej woli nicości. Skoro nie ma po co żyć, to dlaczego mielibyśmy pożądać bardziej życia niż śmierci? Należało więc „świat prawdziwy” utrzymać. Przywrócić mu tę powszechność, którą dawniej gwarantowała mu, osłabiona już teraz, wiara w Istotę Najwyższą. Uczynić go dostępnym dla wszystkich, nie tylko dla filozofów. Należało sprowadzić go na ziemię. Pokazać, że Prawda jest obecna w tym świecie, trzeba tylko umieć ją znaleźć. To tutaj znajdziemy zobowiązanie i płynącą zeń pociechę – pociechę nie przyrzeczoną, nie – trudną do ujęcia i udowodnienia, lecz realną, namacalną i... powszechną. Musimy tylko kierować się głosem Rozumu, który wskaże nam drogę ku jedynej Prawdzie tego świata. Rozumu, który bezlitośnie obnaży nasze dotychczasowe błędy i pokaże, że pociecha wcale nie musi być tylko czczym wymysłem. Idąc za jego wskazaniem odkrywamy, że cierpienie związane z samotnością, znikomością i bezsensem naszego istnienia jest przejściową pomyłką, która bierze się stąd, że znajdujemy się na stosunkowo wczesnym etapie „rozumnego” rozwoju. Postęp tę pomyłkę zniweluje, ukaże jej pozorne oblicze. Udowodni nam, że możliwa była tylko dlatego, że nie znaleźliśmy Prawdy. A Prawda tkwi w „ziemskim” Rozumie. W Rozumie, który podpowiada nam, iż nasze szczęście jest nierozdzielnie związane ze szczęściem całej ludzkości. Że poświęcając się dla dobra innych ludzi, którzy tak samo jak my są istotami obdarzonymi Rozumem, zbudujemy powszechny ład, w którym nie będzie już miejsca na „bezrozumny” bezsens i cierpienie. Szczęście ludzkości będzie więc zarazem naszym szczęściem. A osiągniemy je wtedy, gdy wszystkie jednostkowe cele stopią się z celem powszechnym, gdy nikt już nie będzie samotny, gdy żadna jednostka nie będzie się czuła warto-

ściowa, gdyż wartość każdej z osobna, czerpana z całości, stania się równa i niepomierne wysoka.

Człowiek znieczulony?

„[...] wiesz czego pragnę? – żeby was wszystkich diabli wzięli, oto czego pragnę! Mnie trzeba spokoju. Ach, za to, żeby mi nie przeszkadzano, gotów jestem w każdej chwili cały świat sprzedać za kopiejkę. Czy świat ma zginąć, czy też, ot, ja mam się napić herbaty? Odpowiem: niech ginie świat, bylebym tylko zawsze pił sobie herbatę”.

Bohater „Notatek z podziemia” Dostojewskiego żyje bez znieczulenia. Zszedł do podziemia, gdyż pragnął uwolnić się od zgiełku Prawd, które świat oferował mu jako pocieszenie. Uznał, iż owo pocieszenie nie jest warte wyrzeczeń, do których te prawdy się zobowiązują. Dokładniej: moc pocieszania całkowicie się wyczerpała, zostało tylko – zobowiązanie. Ale on nie wierzy już w to, co miało być celem wyrzeczeń. Nie wierzy w życie wieczne, w ideał człowieka, w bezosobiste wartości, w szczęście ludzkości. Przejrzał, iż wszystkie te cele były skłamate, wymyślone po to, by obietnicą szczęścia zagłuszyć cierpienie. Ale obietnicy tej nie dotrzymywały, nie mogły dotrzymać, gdyż były nieosiągalne. Poświęcając się im można było udawać, że nie ma cierpienia, próbować o nim zapomnieć, lecz samo cierpienie nie stawało się przez to mniej realne. „Człowiek z podziemia” staje twarzą w twarz ze swoim rzeczywistym, jedynym życiem. Odczuwa bezpośrednio cierpienie, którego już w żaden sposób nie potrafi, i nie chce, ukoić. Ale dlaczego schodzi do podziemia? Dlaczego tak gwałtownie i z nienawiścią odrzuca Prawdy, w których – kto wie? – może wreszcie znalazłby pocieszenie?

Wygląda na to, że obwinia je za swoje cierpienia. To one sprawiły, że stając wobec nagiego faktu życia, nie może w nim znaleźć żadnego celu, nie potrafi zrozumieć sensu swego cierpienia. Gdyż zanim zszedł

do podziemia, wierzył, iż to w nich tkwi jedyny cel życia, że poza tymi, martwymi już dla niego, Prawdami życie nie może mieć celu.

Gdy one znikły, stanął przed pustką. I postanowił wglebić się w nią, aby sprawdzić, czy rzeczywiście nic w niej nie ma. Musiał to zrobić w samotności, odciąć się od ludzi, którzy nie mieli ochoty i odwagi na tak straszliwe poszukiwania i woleli wierzyć, iż nadal są znieczuleni. Najbardziej bał się tego, że ludzie ci uznają go za szaleńca. Sam bowiem o to siebie podejrzewał. Wiedział, że różni się od innych, wiedział, że poszukuje tego, o czym wszyscy sądzili, że nie istnieje. Nie wiedział natomiast, nie mógł jeszcze wiedzieć, kto ma rację, kto tak naprawdę jest szalony.

Czyż nie jest to ten sam „oszalały człowiek”, któremu Nietzsche kazał na targu szukać Boga? Jego rozpaczliwe wołanie, że „Bóg jest martwy”, nie zrobiło na obojętnych słuchaczach żadnego wrażenia. Zaniechał go więc i powiedział do siebie:

„Przyszedłem za wcześnie [...], nie jestem jeszcze na czasie. To olbrzymie zdarzenie jest jeszcze w drodze i wędruje – nie doszło jeszcze do uszu ludzi, błyskawica i grzmot potrzebują czasu, światło gwiazd potrzebuje czasu, czyny, nawet skoro już są dokonane, potrzebują czasu, by je widziano i słyszano”.

Oszalały człowiek schodzi do podziemia, ponieważ pojął całą grozę konsekwencji „śmierci Boga”. Inni patrzą na niego ze zdumieniem, nie wiedzą jeszcze, co uczynili. Nie przeczuwają strasznego niebezpieczeństwa, na jakie się narazili, mordując Tego, który ich życie uczynił w ogóle możliwym. Żyją więc tak, jak gdyby wszystko było po staremu. Czerpią pociechę z Prawd, które dla nich już są martwe. Martwe – gdyż oferują wątpliwą pociechę do niczego nie zobowiązując. Nie wierzy się w nie, więc dlaczego miałyby się słuchać ich nakazów? Znikła jedność wartości i celu. Wierzy się w te wartości, które dają ukojenie i pozwalają się łudzić swoją „wzniosłością”, ale jednocześnie dąży się do celów, które z tymi wartościami nie mają nic wspólnego. Owszem, próbuje się „uświęcić” owe „przyziemne” cele, lecz za każdym razem,

gdy cel się zmienia, gdyż nie przyniósł spodziewanego zaspokojenia, porzuca się wraz z nim wartość, którą weń „włożono”.

Ponieważ unicestwiliśmy świat jedynych i „prawdziwych” wartości, w których każdy mógł znaleźć pociechę i do których każdy był zobowiązany dążyć, wynajdujemy mnóstwo innych. Uznajemy je za prawdziwe dopóty, dopóki służą naszym dążeniom i potrzebom. Stajemy więc wobec wielości, która uniemożliwia nam wiarę w „jedynie właściwy” wybór. Każdy stara się „udowodnić” prawdziwość własnych wartości, każdy trzyma się kurczowo owej prawdziwości, gdyż w niej tylko może znaleźć pociechę.

Ale przez to wszystko zaczyna się przebijać podejrzenie, że żadna z nich nie jest „obiektywnie” prawdziwa, że Prawda, o której marzymy, nie istnieje, że Prawdę wymyślamy dla zaspokojenia własnych pragnień i realizacji celów, które nie mają z nią żadnego związku. To podejrzenie skłania nielicznych do zejścia do podziemia. Innym natomiast każe gorączkowo szukać i przebierać we wszystkich dostępnych wartościach i celach, w nadziei, że wśród nich muszą się znajdować te „naprawdę” prawdziwe; w nadziei, która zrodziła się z wiary, że „tylko Prawda was wyzwoli”.

Lecz gdy, prędzej czy później, oni także przekonają się, że Prawdy nie ma, że unicestwiliśmy ją naszymi własnymi rękami, odkrywając przy tym, że ten potężny środek znieczulający to tylko „placebo”, w które trzeba wierzyć, by skutecznie zadziałało – czyż wtedy nie stanie się tak, że każdy będzie musiał zejść do swojego podziemia? Każdy stanie przed faktem, któremu nie będzie mógł już zaprzeczyć. Nie będzie musiał nawet odcinać się od wrzawy Prawd, które mogłyby go skusić ku takiemu zaprzeczeniu. Wszak wrzawa umilkła, Prawdy stały się martwe. Pozostało tylko to jedyne, niepowtarzalne, skończone życie, które **jest** cierpieniem i które poza sobą nie ma żadnego sensu. Wtedy wszyscy staniemy przed okrutną alternatywą: albo znajdziemy sens życia w sobie samych, w życiu samym, albo...

Kultura jako analgetyk. Tworzenie jako odpowiedź na ból. Czego się tutaj pragnie? Skąd pochodzi zasadniczy impuls? Wyleczenie lub uśmierzenie bólu jest jego zanegowaniem. Uśmierzając usuwamy uczu-

cie cierpienia, nie likwidując jego przyczyn. Gdy leczymy, unicestwiamy jego źródło. W obu wypadkach decydujemy się na zabieg, gdyż ból jest tym, czego chcemy się pozbyć.

Tworzyliśmy kulturę pragnącą zlikwidować ból, wyrwać go z korzeniami. Wierzyliśmy, że operacja powiedzie się, gdy dotrzemy do jego źródeł. Okazało się jednak, że źródłem bólu jest życie, że ono samo jest bólem, że „choroba na życie” jest nieuleczalna. Nasze potępienie bólu było więc zarazem potępieniem życia.

Skoro nie udało się uleczyć życia, należało uśmierzyć jego odczuwanie. Żyć tak, aby zubożnąć na cierpienie, uczynić je czymś nierealnym. Żyć myślą o innym, „lepszem” świecie, w którym nie ma już cierpienia; wymarzyć sobie innego, „dobrego” człowieka, który współodczuwając z cierpieniami innych zapomni o swoim własnym; uwierzyć w Rozum i Postęp, które na tym świecie zaprowadzą bezbolesny ład.

Lecz ponieważ te środki nie były w stanie wyleczyć samej choroby, a uśmierzały tylko jej skutki – to gdy przestaliśmy wierzyć w ich zbawienną moc, ból życia obudził się ze zdwojoną siłą. Stał się tym bardziej potężny, im bardziej byliśmy przyzwyczajeni do życia w znieczuleniu. Wyobrażaliśmy sobie, że „prawdziwe” życie jest życiem znieczulonym. Więc jak teraz żyć? Czy możemy dalej tworzyć, wiedząc, że kultura jest tylko naszym łudzeniem się i nie potrafiąc już się ludzić?

Kultura była ułudą, gdyż opierała się na zaprzeczeniu tego, co realne. Musieliśmy przeczyć, aby móc żyć, a żeby przeczyć – musieliśmy tworzyć. Teraz jednak, gdy ułuda prysła, pozostało nam tylko to, co realne. Pozostała potrzeba przeczenia, lecz twórczość stała się niemożliwa. Czy jednak była to jedyna twórczość? Czy nie jest tak, że prawdziwe tworzenie musi być wolne? Aby powołać do istnienia coś trwałego i rzeczywistego, musimy uwolnić się od przymusu, tworzyć dlatego, że możemy i chcemy, a nie dlatego – że musimy. A uwolnić się od przymusu przeczenia będziemy mogli tylko wtedy, gdy nauczymy się mówić „tak”. Mówić „tak” życiu, afirmować tę rzeczywistość, którą i w której jesteśmy. Uwierzyć, że ten świat jest najpiękniejszym darem,

który nam został tylko raz dany i czerpać z tego daru pełnymi garściami, by później móc ofiarować mu z własnej pełni to, co w nas najpiękniejsze. Stworzyć nasze życie, przyznać, że wszystko, co nam dane, jest dobre i z tego wszystkiego skomponować poruszającą całość... Kultura jako sztuka?